GRÓB WIRGILIUSZA.



Gdy podróżny opuści zachodnie przedmieście Neapolu, zwane *La Chiaja*, przybywa w kilku minutach na piękną przechadzkę, noszącą miano *La Mergellina*, a potém zwróciwszy się na prawo od nieporównanéj zatoki, wstępuje krętą ścieżką, wyrobioną nakształt stopni, na wzgórze Pauzylipu, winogradami okryte. Na zachwycającym pagórku Pauzylipu postrzega starożytną rzymską mogiłę, powszechnie „Grobem Wirgiliusza" zwaną. Przybywszy prawie na środek pochyłości, wieśniaczą bramą wchodzi do winnicy, któréj jedna strona kończy się stromą spadzistością. Na skraju téj pochyłości, wprost wchodu do podziemnych pieczar Pauzylipu, znanych każdemu, kto tylko południowe zwiedza Włochy, stoi na wpół zwalony grobowiec Wirgiliusza, ocieniony drzewami, które zapuściwszy korzenie w starożytną skały powłokę, jedność prawie z grobowcem utworzyły. Jest to czworoboczna budowa, z zaokrąglonym wierzchem, niczém się prawie nie różniąca od innych w pobliżu rozrzuconych, chyba charakterystyczném swém mianem i szczególniejszém położeniem. Wejście do tego grobowca było niegdyś bardzo wąskie, lecz je późniéj znacznie rozszerzono; wybito nawet okno w murze, z którego można użyć zachwycającego widoku na przepaść, tworzącą wejście do sławnéj groty Pauzylipu. Wewnątrz, grobowiec przedstawia sklepioną celę, mającą blisko dziesięć stóp w przecięciu, na około któréj porobione są, tak zwane niegdyś kolumbarja, to jest wklęsłości w murze, gdzie stawiano popielnice. Niepozostał tu jednak żaden ślad ani popielnic, ani sarkofagów, ani napisów, któreby miejsce to jako grobowiec odznaczały. Dochowało się atoli podanie, którego prawdy zaprzeczyć trudno, iż wszystko to istniało tu jeszcze aż do szesnastego wieku, podobnież jak i urna, w któréj miały spoczywać popioły Rzymskiego rymotwórcy. Podług starodawnego opisu, urna z popiołami twórcy Eneidy, stała we środku grobowca;

wzniesiona na małych marmurowych słupach, z napisem na gzymsie.

Jeszcze 1526 roku, znakomite osoby, szczególniéj uczeni i artyści, na własne oczy oglądać ją mieli. Wieść niesie, iż niezadługo potém, w czasie wojen i nieprzyjacielskich napadów, rząd, lękając się, aby tak kosztowna starożytność nie wpadła w ręce barbarzyńców, lub przez nich zniszczoną nie została, rozkazał ją przenieść do Castel-nuovo, gdzie jednakże zaginęła. Inni znowu utrzymują, iż rząd podarował urnę z popiołami poety, i należącą do niéj marmurową podstawą, kardynałowi Mantuańskiemu, który ją pragnął przenieść do Mantui, jako rodzinnego miasta rzymskiego wieszcza; lecz gdy tenże zachorował w Genui i tam umarł, kosztowne naczynie w obce przeszło ręce, i odtąd wszelki ślad jego zaginął.

Wiersz łaciński, który wedle podania, miał się jako napis na urnie znajdować, powszechnie jest znany, i w tych brzmi wyrazach:

Mantua me genuit, Calabri rapuere, tenet nunc Parthenope: cecini pascua, rura, duces.

Co prawie dosłownie znaczy po polsku:

Zrodziła mnie Mantua, wykradli Kalabrowie, zatrzymuje teraz
Partenopa; opiéwałem walki, pasterzy i sioła.

Podróżnik angielski Jerzy Sandys, zwiedził grobowiec Wirgiliusza przeszło przed dwiestą laty, i następny nam obraz powierzchowności jego zostawił: „Ma kształt małéj kapliczki, pokrytéj płaszczem samorodnym bluszczów i mirtu; lecz największą jego osobliwością jest piękny rozgałęziony laur, który sam przez się miał na szczycie jego wyrosnąć, jak gdyby na uczczenie nieśmiertelnego rymotwórcy." Mnóstwo późniejszych podróżników wspomina także o tém laurowém drzewie i bujnie rozgałęzionym jego liściu; całkowicie jednakże znikło w późniejszych czasach. Mirty atoli dotąd zielenieją i kwitną na starych zwaliskach, a hojne uploty bluszczu nietylko powlekają sam grobowiec, lecz całe wzgórze kamienne, na którém osobliwy ten pomnik zbudowany.

AUTOROWIE PARYZCY.

(Dokończenie.)

Zdaje mi się żem cię zostawił kochany przyjacielu, u pani George-Sand; czas już z nią teraz pożegnać się. Nie wiem czemu, ale nie mam wcale ochoty mówić o X. de Lamennais; gdyby mi wystarczyło papieru na dokończenie ostatniego listu, możebym miał słabość powtórzenia całéj jego rozmowy z George-Sand; ale dzisiaj podobna gadatliwość nie jest w miejscu. Powiem ci tylko, że miarkując z nowego kierunku wyobrażeń George-Sand'a, zdaje mi się że on, a raczéj ona, pisać już więcéj nie będzie romansów w rodzaju „Lelii" i „Indyany." Szanuj moje milczenie, przyjacielu: mogłem ci opowiadać wszystkie szczegóły o innych autorach, bo mnie samemu je opowiadano; ale stosunki pani George-Sand ze mną zupełnie są odmienne; przyjęła mię w swoim domu; ta piękna kobiéta przypuściła mię do grona wybranych swych przyjaciół, rozmawiała w obec mnie z całą otwartością przyjaźni, zasiliła mój łaknący żołądek herbatą i słodkiémi sucharkami, osłodziła powonienie moje aromatem przewybornego tytuniu; słowem, znajomy jestem pani George-Sand: zrozumiesz przeto, że byłoby bardzo nieprzyzwoicie powtarzać to wszystko com widział lub słyszał w jéj domu.

Względem innych niezdradzam bynajmniéj ani gościnności, ani zaufania, ani przyzwoitości: nie znam się z nimi, i mówiąc prawdę, żartuję z ich gniewu. Ale George-Sand-- co za różnica! Powtarzam ci, znajomy mu jestem. George wygrał u mnie w bostona 15 franków; George dał mi polecenia do Bruxelli; George prosił mię abym otworzył okno dla wypuszczenia dymu od naszych cigarro. . O! co za różnica między nią a nimi!

Wyszedłszy od niéj, rozstałem się z moim przyjacielem, autorem jednego aktu w wodewilu, i udałem się do domu; umówiliśmy się wprzód z sobą zejśdź się nazajutrz w foyer teatru *Gymnase-dramatique*, gdzie ujrzeć miałem inne towarzystwo literatów.

Nie łatwoby mi przyszło opowiedzieć tobie, jak czas przemija w Paryżu. Zaledwie pośpieszysz ubrać się i ufryzować (w Paryżu każdy cudzoziemiec koniecznie fryzować się powinien), zaledwie zjész śniadanie i zapiszesz wczorajsze wydatki — a już ranka jakby nie było. Powałęsasz się godzinkę po bulwarach, — patrzysz: już obiadowa pora. I tak, po śniadaniu wyszedłem z domu, a ujrzawszy tłum ludu na ulicy, z ciekawości zbliżyłem się ku niemu. Pośród tłumu stał jakiś jegomość co przedawał jakieś mydło do wywabiania plam z sukna. Zoczywszy mnie szarlatan krzyknął że na moim surducie ogromna plama, i w téjże chwili zaczął mi plecy niemiłosiernie nacierać. Pomimo mego oporu, łotr dręczył mię przynajmniéj pół godziny.

Wydobywszy się z jego rąk, zaledwie miałem czas wstąpić do jednego magazynu, a ztamtąd poszedłem do teatru *Gymnase-dramatique*.

Przyjaciel czekał już na mnie.

„Ci którycheśmy widzieli w *foyer* Opery"— mówił on: „składają niejako arystokracyą literacką: tam założyli swój salon, tam spotykają się z sobą; mają wolne wejście na Operę, należą bowiem do dziennikarstwa wyższego rzędu, lub też dla tego że wywierają wpływ na wyższą klassę społeczności, która ów teatr wspiera. Szkoda wielka, żeśmy tu niespotkali P. *Leona Gozlan*, z którym znam się dobrze: przedstawiłbym cię jemu."

Zacząłem więc wypytywać się o panu Gozlan: owóż co mi powiedział:

„P. Gozlan, którego wszyscy znamy z jego romansu: — *Notaire de Chantilly*, i z wielu innych dzieł, oddawna już należy do najgorliwszych spółpracowników dziennika *le Corsaire;* i śmiało powiedzieć można, że najlepsze w tém piśmie artykuły są płodem oryginalnego i dowcipnego jego pióra. Wpływ jego jest potężny: wszyscy się go lękają, a on nikogo się nie boi. W Paryżu małe dzienniczki: *le Corsaire*, *Charivari* i *Figaro*, ściśle z sobą są połączone i obalają często, jeśli się im podoba, większe dzienniki. Leon Gozlan należy do liczby najpotężniejszych szermierzy téj straszliwéj literatury. Biada temu, kto go zaczépi! Dotknij go tylko z cicha, a on cię w odwet podrapie; zadraśnij go, on cię przebije. Nie było dotąd przykładu żeby jakikolwiek dziennik niekorzystną uczynił wzmiankę o talencie pana Gozlan. Może w tych kilku wiérszach napisanych przezemnie pan Gozlan wyczyta tyle prawdy surowéj ile mu przez całe życie słyszéć się nie zdarzyło; i gdybym niebył przypadkowym feuilletonistą który równo z wyjściem na świat tego listu bierze dymissyą, to należałoby mi wyglądać najsmutniejszego losu dla niniejszego pisma, jeśliby na jakąkolwiek zasługiwało uwagę, lub też dla jakiegokolwiek bądź dzieła, jeślibym miał kiedy nierozum co pisać.

P. Leon Gozlan liczy lat 34; służył w marynarce, znajdował się na morzu Śródziemném, i w Senegalu. Rodem z Marsylii, podobnie jak Méry i Barthélemy opuścił to miasto i osiadł w Paryżu, gdzie mieszka teraz blisko już ośmiu lat. Niegdyś był spółpracownikiem dziennika *Figaro-Rohain*, i tu zaczął straszyć osobą swoją. Wszędzie ma przyjaciół: najprzywiązańsi z nich Karr, August Luchet i Reybaud. Dosyć najmniejszego skinienia, żeby to bractwo literackie jęło się pióra, a nawet oręża; wszyscy cztéréj składają pewny rodzaj towarzystwa assekuracyjnego, którego kapitał stanowi wzajemna obrona, a akcye wypłacają się zupełném przywiązaniem się i zrzeczeniem się samego siebie. P. Gozlan wzrostu niewysokiego, smagławy i ognisty; oczy jego iskrzą się, skoro je utkwi w jaki przedmiot; ubiór lubo nie elegancki, odznacza się jednak gustem. P. Gozlan żonaty i ma dzieci; téj może okoliczności winniśmy owe śliczne powieści, jako to: *le Croup* (tłumaczona na polski przez Wandę Malecką i umieszczona w *Rozmaitościach Warszawskich* do *Korrespondenta* 1836), *Rog* i inne, które mimowolnie łzy sprowadzają na oczy, kiedy on mówi o małych dziewczynkach, *moitié fruit*, *moitié chair*, jak je w którémś miejscu nazywa.

P. Gozlan pisze ładne wiérsze, ale rzadko je drukuje. W towarzystwach uczonych mniemają, że ma zamiar poświęcić się literaturze dramatycznéj; niektórzy twierdzą nawet, że już przedstawiał komitetom, przy głównych teatrach ustanowionym, kilka sztuk, które odrzucone zostały; ale o tém mówią bardzo po cichu i z wielką obawą, lękając się ażeby Gozlan nie usłyszał. Romans *les Intimes* przedrukowany u nas w Bruxelli, pod imieniem Michel'a Raymond'a napisany przez P. Gozlan w spółce z Raymond'em - Brückker (teraz Michel - Masson: pod zmyślonėm nazwiskiem Michel Raymond, długo ukrywali się trzéj pisarze: Michel - Bruckker, Michel - Masson i Leon - Gozlan). P. Gozlan nieprzyznaje się atoli do uczestnictwa w tym romansie, a mówi, że napisał kilka do niego rozdziałów.

Mocno żałowałem, że mi się nie udało spotkać z panem Gozlan; ale wkrótce zapomniałem o nim, ujrzawszy pana *Paul-Lacroix*, tak znajomego pod nazwiskiem *bibliofila Jacob'a*. Nie stary to człowiek; pewno niewyobrażasz go sobie takim, jakim jest rzeczywiście. Ma lat 36; prosty w obejściu się, i zdaje się że wcale sobą niezajęty; nosi zawsze w pętlicy wstążeczkę legii honorowéj. Bibliofila Jacob'a nie można liczyć w poczet talentów piérwszego rzędu; ale imię jego stało się głośném przez nadzwyczajną obfitość dzieł, i z powodu epoki pomyślnéj, w któréj piérwsze swe literackie prace wydał na świat. Francuzi nazywają go *l'homme du cabinet de lecture*. Główną jego zaletę stanowi to, iż on piérwszy wkroczył w krainę wieków średnich, dokąd za nim tylu pokwapiło się pisarzy. Romans *les deux Fous*, uważają za najlepsze jego dzieło; w ogólności bibliofila Jacob'a można liczyć raczéj za dobrego kronikarza i erudyta, aniżeli autora celującego wyobraźnią i

*

dobrym stylem. Paul-Lacroix, może, jeżeli zechce, napisać dwa tomy w ciągu jednego miesiąca; erudycya jego nadzwyczajna i pod żadnym względem nieodpowiada jego wiekowi. Wcale jest niebogaty, pomimo ustawicznéj pracy; a pożar niedawny, w którym niemało on utracił, bardziéj jeszcze nadwerężył jego interessa. Ma żonę, nader miłą i rozumną kobiétę, która, jak twierdzą, miała udział w napisaniu jednego z ostatnich jego romansów: *une Femme malheureuse*.

W teatrze przedstawiano nową sztukę. W takim razie wszyscy dziennikarze paryzcy zwykle zgromadzają się patrzéć i oceniać nowe dzieło; a że teraz wszyscy prawie romanso-pisarze zostali dziennikarzami, tedy udało mi się widziéć dzisiaj tych autorów, którzy nie znajdowali się na Wielkiéj Operze.

W jednéj z lož niedaleko sceny, dał się słyszéć wielki łoskot przestawianych krzeseł, oraz drzwi otwieranych i zamykanych. Mój przyjaciel obejrzał się i wskazał mi wchodzącego do loży *Alexandra Dumas*, który towarzyszył kilku damom, a w téj liczbie pannie Idzie, dawniéj aktorce teatru *de la Porte St. Martin*, a teraz zamówionéj do teatru Francuzkiego.

Alexander Dumas zdaje się niema więcéj nad 32 lub 33 lata; wzrostu wysokiego, twarzy smagławéj, włosów kędzierzawych i długich. Nie zapuszcza brody; duże błękitne oczy mają cóś w sobie łagodnego; cały skład twarzy więcéj jest dziwny niżeli piękny, i zakrawa na murzyna. Niezadługo spotkałem go na kurytarzu wiodącym do sceny; wydał mi się bardzo zgrabnym; figurę ma kształtną, ubrany po elegancku. Co się zaś tycze panny Idy, jest to malutka, tłuściutka kobiétka. Oto anegdota, którą przyjaciel mój autor jednego aktu w wodewilu opowiedział o początkach stosunków pana Dumas z tą aktorką. Autor *Henri III*, napisał drama: *Thérése*. Pannie Idzie dostała się w téj sztuce główna rola, którą odegrała ona przewybornie i powszechną uwagę na siebie zwróciła. Po piérwszém przedstawieniu publiczność z zapałem przywołała młodą artystkę, która zszedłszy ze sceny, tak była upojona swojém szczęściem, że ujrzawszy Alexandra Dumas, rzuciła mu się w objęcia; potém upadłszy mu do nóg, rzekła z tém uniesieniem, jakie jéj pozostało jeszcze z roli odegranéj: „ach, panie Dumas, wyświadczyłeś mi największe dobrodziejstwo; mnie biédnéj, nieznanéj dziewczynie zjednałeś sławę; tobie winna jestem moję przyszłość; nie wiem czém się odwdzięczyć ci potrafię!"

Dwa lub trzy lata temu, kolossalną była sława pana Dumas; uważano go za piérwszego pisarza dramatycznego Nowéj Francyi, i teatr *de la Porte St. Martin* winien mu nadzwyczajną wziętość i ogromne zyski. Artykuły pana Granier de Cassaignac w *Journal des Débats* umieszczane, zadały piérwszy cios téj sławie tak młodéj i razem tak popularnéj. Ale zarzuty dziennikarza były mocne, a cytacye, sąd jego potężnie wspiérały: i Francyi niepodobna było nie uznać sprawiedliwości krytyki.

Zresztą, oto jest *extrakt wniosku* z tego wszystkiego com słyszał o dziełach Alexandra Dumas. Mój cicerone zaręczał prawdę tego co ci powtarzam: *Henri III* i *Christine*, piérwsze dramata pana Dumas, jego jednego są dziełem. *Thérése* napisana była przy pomocy spółpracownika, którego nazwisko przepomniałem. Piérwsza idea *Antony* jest własnością Pana Souvestre; *la Tour de Nesle*, pana Gaillardet; *Angéle*, pana Bourgeois, *Richard d'Arlington* pana Dino; *Cathérine Howard*, pana Bourgeois; a *Don Juan de Marana* winien swój byt panu Merimée, który o tym Hiszpanie całą napisał powieść. W ciągu zobopólnych prac Pana Dumas z panem Bourgeois, piérwszy umiał zawsze odróżniać lepsze dzieła: tak że *Angéle* i *Cathérine Howard*, które wziętość pozyskały, przedstawione były pod jego nazwiskiem, a *le Fils de l'Emigré* i *la Venitiénne*, które upadły — pod nazwiskiem pana Bourgeois.

Teraz P. Dumas jest członkiem redakcyi gazety *la Presse*. Wydrukował tu nowy swój romans *Pascal Bruno*, który uważa się za niższy od wszystkich innych jego dzieł w tym rodzaju.

Autor dramatu *Antony* (syn Alexandra Dumas, generała za czasu rzeczypospolitéj francuzkiéj, który umarł we Włoszech z trucizny) należy ze sposobu myślenia do partyi republikańskiéj: chociaż w ogólności wszyscy literaci bardzo mało mięszają się w politykę. Nie wgląda jednak w to jakiego jest stronnictwa dziennik, i pisze zarówno do legitymistowskich i orleańskich. Dumas mieszka przy ulicy *Bleu*, i dom jego odznacza się szczególną wytwornością. Przyjaciel mój był tam raz jeden, i opowiadał mi o sypialnym pokoju, którego ściany wybite jedwabną materyą, o suficie w którym wprawione ogromne zwierciadło, o firankach aksamitnych ze złotą frendzlą, i o meblach z drzewa cytrynowego. Pomimo jednak wielkich summ, jakie P. Dumas za swe dzieła dramatyczne pobiera, nie ma pojazdu, a służba jego nie nosi liberyi.

Pamiętasz zapewne owe nieskończone żarciki, jakiémi szafowały dzienniki paryzkie z powodu podróży Pana Dumas na morze Śródziemne. Dowiadywałem się o owocach téj podróży, ale na nieszczęście bardzo mało się dowiedziałem. Szczérze pragnę żeby P. Dumas wydał o téj długiéj podróży jakie nowe: *Impressions des Voyages*, ale dotąd nikt nie zgadnie jego zamiarów. W różnych dziennikach umieścił kilka artykułów o Włoszech; ale nie mają one z sobą żadnego związku, żadnego ciągu, i są to po prostu gazeciarsko-literackie artykuliki. Słyszałem, że podług pierwiastkowego planu, podróż miała bydź przedsięwziętą na skalę najogromniejszą. Pan Dumas zamyślał wziąć z sobą całą kolonią artystów i uczonych: trzech lub cztérech malarzy, po jednym botaniku, lekarzu, architekcie, geologu i kilku sekretarzy. Rząd dawał bryg wojenny pod rozkazy pana Dumas, który miał go uzbroić kosztem kapitału towarzystwa akcyonaryuszów. Nieprawdaż że zamiar zwiedzenia ze zgrają artystów, poetów i uczonych całego prawie Wschodu i kolébki świata, był to zamiar olbrzymi? Wyprawa ta miała wypłynąć z Tulonu, zwiedzić Włochy, Turcyą, Egipt, państwa Barbaresków, Algier i powrócić przez Hiszpanię. Nie umiano mię objaśnić dostatecznie co skłoniło pana Dumas do zrzeczenia się tego zamiaru i ograniczenia się spowszedniałą wycieczką do Włoch i Sycylii.

Alexander Dumas jednym jest z tych ludzi we Francyi, którzy najwięcéj mają znajomości; wszędzie ma przyjaciół; wielu z nich unosi się nad nim, inni zaś ani chwalą ani ganią. Bliscy jego znajomi zapewniają, że nie wiele zyskuje na bliższych z nim stosunkach; obejście się zaś jego i początek przyjacielskich związków, które wcale nie są trudne, wiele mają w sobie powabu. Uważają także, iż w nim rozum nad sercem przemaga; cóżkolwiek bądź, jego powierzchowność bardzo mi się podobała, i gotówem wierzyć w to wszystko cokolwiek mi o nim dobrego mówiono.

Między aktami widziałem panią Dorval, która tylko co przyjechała z Tuluzy. Towarzyszył jéj *Alfred de Vigny*. Jest to człowiek jeden z najprzyjemniejszych i najlepiéj ukształconych; w jednym i tymże samym czasie odznacza się szlachetnością i prostotą obejścia się; blondyn, nie więcéj liczy lat nad 35. Co się zaś tycze pani Dorval, znasz ją.

Kończę list mój, kochany przyjacielu, wzmianką o kobiécie, któréj poetyckiemu talentowi dziwię się, a kocham za jéj prozę. Jest to Pani *Desbordes-Valmore*. Mój przyjaciel wszedł do jéj loży, dokąd nie śmiałem pójśdź za nim, ale za to nie spuszczałem z niéj na chwilę lornetki. Jak podobna do wizerunku, który moglibyśmy sami utworzyć. Co za łagodność, co za pokora w obliczu! Pani Valmore ciągle mieszka teraz w Lyonie, gdzie mąż jéj piérwszym jest artystą teatru miejscowego. Powiadają że to człowiek z wielkim talentem. Pani Valmore była także kiedyś aktorką; ale talent jéj poetycki wkrótce to sprawił, iż zapomniano o niéj jako o dramatycznéj artystce. Zdanie powszechne mieści ją teraz w rzędzie piérwszych autorek francuzkich. Wielce zachwalano przedemną ostatni tom jéj poezyj, znajomy pod tytułem: *les Fleurs*, którego na nieszczęście nie zdążyłem jeszcze przeczytać.

ANGLIA W ROKU 1835.

(CIĄG PIĄTY.)

16 *Kwietnia.*

Co się tyczy wydatków pieniężnych, znajduję tutaj wszędzie potwierdzenie mojéj odwiecznéj rachunkowéj zasady; wczoraj zaś, wyczytałem ją z ukontentowaniem powtórzoną jeszcze w nauczającéj przestrodze Burgleja synowi, gdzie powiada: „nie przeznaczaj nigdy na rozchód więcéj nad dwie trzecie dochodów, gdyż wydatki nadzwyczajne zabiorą pewnie, przynajmniéj pozostałą trzecią część.”

—— Rozmowa i pisanie tyle mi czasu zajęły, żem nie postrzegł, iż wkrótce trzeba się będzie udać do Drurylane dla słyszenia wielkiego — *Sacred oratory* — koncertu. Restauracya w któréj dotychczas codziennie jadałem, leży w przeciwnéj zupełnie stronie miasta; ruszyłem więc ku Drurylane, w nadziei, znalezienia innéj po drodze; omyliłem się jednakże. Naprożno wzdłuż i wszérz ulic szukałem oczyma; wreszcie nad jednem oknem wyczytuję z radością napis— „Supa.”— Gdzie dają supę, pomyślałem sobie, znajdzie się i więcéj potraw — powtórna pomyłka! — Wchodzę i przekonywam się naprzód, że towarzystwo, które znajduję, nie do najwyszukańszych rzędu należy; lecz głód i ciekawość przemogły; chciałem wiedzieć jak też jada najniższa klassa wyrobników i mieszkańców Londynu. Zrazu przypomniały mi się austerye Rzymskie, lecz było to jeszcze cóś innego. Stół wprawdzie bez obrusa, lecz zamiast gołéj deski jak w Rzymie, pociągnięty był woskowanem płótnem; na nim cynowe

talérze, łyżki, dwójzębne widelce, sól i pieprzniczka. Stoły nie były zastawione jak we Włoszech wzdłuż ścian, do wspólnéj biesiady, lecz rozrzucone po kątach, jakby dla uniknienia tak duchownych, jako i fizycznych niesnasek pomiędzy gośćmi.

Pytałem o rozmaite angielskie potrawy, lecz otrzymałem odpowiedź, iż tu, prócz ogłoszonéj z ulicy supy, nic dostać nie można. Chcąc niechcąc musiałem się zastosować do towarzystwa i poprzestać na tym skromnym posiłku. Dostałem wielką porcyą czarnéj spartańskiéj supy, w któréj pływający stłuczony pieprz niepoślednią grał rolę; było też w niéj dużo mięsa, czyli raczéj mięsnych cząstek, które mię z mglistego Londynu przeniosły wspomnieniem do Sorrento i *frutti di Mare;* dano mi do tego ogromną sztukę pięknego pszennego chleba i dwie olbrzymie kartofle, wyrównywające objętością ośmiu do dziesięciu naszym zwyczajnym kartoflom berlińskim. Spożywszy to wszystko, byłem doskonale syty i zapłaciłem trzy pency, czyli piętnaście polskich groszy. Po takim obiedzie, pospieszyłem do Drurylane, gdzie na wielokrotne zapytania gdzie się kupują parterowe bilety, odbierałem zawsze niezrozumiałe odpowiedzi: tak np. że tutaj bilety wcale się nieprzedają, ani rozdają, lub czy szukam miejsca na pół ceny i t. p. Niewiedząc co myśléć, obwiniałem swój język, iż dzięki jemu, nikt mojéj angielszczyzny zrozumiéć nie może; a jednak dziwno mi było, bom używał słów najzwyczajniejszych i wyłamywałem jak tylko mogłem najlepiéj język mój i usta: wszystko nadaremnie. Zniecierpliwiony idę wreszcie bez biletu, przed parter, którego wejście nie jest jak w Paryżu poprzecinane gzygzakami, dla zmniejszenia natłoku, i tu znajduję Anglików czekających spokojnie, aż o w pół do siódméj drzwi się otworzą. — Wtedy dopiéro nastało trącanie się i popychanie, tak dalece, iż niektóre damy zaczęły parasolikami bronić się od nacisku; skorośmy jednakże przebyli wąskie przejście, daléj szło już swobodniéj, i wyjaśniły mi się niezrozumiałe odpowiedzie. Za pół czwarta szylinga, czyli siedm złotych polskich, nie otrzymuje się żadnego biletu, tylko miedzianny znaczek, który potém zwrócić należy. Wszystkie nasze kassy teatralne, bilety, marki, kontramarki, kontrole i t. d. zastąpione są tutaj przez dwóch ludzi, którzy w przeciągu półgodzinnéj pracy, zrobią toż samo, co my otrzymujemy za pomocą tylu kosztownych maszyneryi, biór i ludzi.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

NOWE DZIEŁO.

Klechdy, starożytne podania i powieści ludu Polskiego i Rusi, zebrał i spisał Kazimierz Władysław Wojcicki. w Warszawie, w drukarni Piotra Baryckiego, przy ulicy Podwal, Nr. 522. 1837. — w 8ce. Tom I. str. 237. nieliczb. 2. Tom II. str. 215. nieliczb. 7.

Podanie albo tradycya nazwać się może w pewnym względzie skrytémi, tajemniczemi drzwiczkami do okazałego gmachu historyi. Zwiedziwszy przy dzienném świetle ten gmach ogromny i wspaniały, bogaty w liczne obrazy królów i sławnych mężów; przypatrzywszy się z uwagą najbaczniejszą rozległym salonom, w złoto i malowidła ozdobnym, kędy światło blask swój o różnobarwne szyby lub złocone ramy odbija; zliczywszy krwawe tryumfy bitew i spokojne prawodawstw pomniki; rzuciwszy okiem ze szczytu tego milczącego ustronia na wznoszącą się powolnie obecnego wieku historyczną budowę: wracamy się znowu do wspaniałego zamku, badamy jeszcze troskliwiéj nieprzeliczone jego bogactwa, a zawsze cóś nowego i ciekawego nasuwa się nam przed oczy. W tém niespodziewanie spostrzegamy tajemne, wązkie drzwiczki za kosztowném obiciem ukryte, przypadkiem na wpół otwarte, jak gdyby zamknąć ich kto zapomniał. Ze drżeniem próg przestąpiwszy, w ciemnościach, cofamy się znowu, gdy głosy jakby z głębi przepaści podnoszące się, ucho nasze uderzą. Z pochodnią w ręku ośmielamy się wreszcie szukać przygód: wówczas wkraczamy w labirynt zawsze posępny, a często trudny do przebycia: samotne korytarze wiją się wzdłuż wszystkich murów zamku, po tysiącznych zakrętach wiodą nas aż pod ziemię, pod same fundamenta. Niekiedy zalegają drogę zwaliska, za piérwszém stąpieniem zgubą grożące; tu zaporę przeskoczyć należy, ówdzie most rzucić nad przepaścią. Zstępujemy wreszcie w lochy podziemne, gdzie już powietrze nie krąży, gdzie otaczające nas przedmioty drgają i mienią się przy niepewnym blasku pochodni, gdzie spoczywają kości umarłych. — Tak, podanie istnieje w saméjże historyi; ale śmiały tylko i przenikliwy duch zgłębić je podoła; nie udziela ono swych tajemnic inaczéj, tylko pokryte grubą warstą prochu, tylko na wpół zżarte przez zapomnienie, a częstokroć, długą koleją lat i wypadków, w sposób najdziwaczniejszy przeobrażone.

Klechdy, starożytne podania i powieści ludu Polskiego i Rusi, są owocem przedsiębierczego umysłu i niezmordowanéj czynności P. Wojcickiego. Jest to przedmiot całkiem nowy: do którego nikt jeszcze w literaturze naszéj dotknąć się nieośmielił. Zaprawdę niemałéj też potrzeba odwagi aby się wziąć do niego. Odłożywszy książki na stronę, zniżyć się pod strzechę ubogiego kmiotka, pozyskać jego ufność, aby ci się wynurzył z odziedziczonemi po przodkach wyobrażeniami, podsłuchać piastunkę opowiadającą bajkę dziecięciu, lub niewiast u kądzieli wieczorne rozmowy; nie jest to rzecz wcale łatwa. Klechdy niniejsze, jak się sam autor wyraża: „są owocem jego wędrówek, plonem lat wielu, uzbieranym to na wątłych tratwach górali, to w śniegowych górach na piasczystym Mazowszu i czarnéj glebie krakowskiéj, to w lasach Kurpi." Są one przeto owocem prawdziwego poświęcenia się i szczérego zamiłowania przedmiotu. Niemało już winniśmy P. Wojcickiemu nader ważnych badań na niwie dziejów słowiańskich, tudzież zwyczajów i obyczajów ludu; więcéj jeszcze rokuje nam jego wytrwałość w szlachetném przedsięwzięciu, z gruntowną znajomością rzeczy krajowych połączona.

Klechdy dzielą się na trzy części: do piérwszéj należą starożytne podania sławiańskich jeszcze jak mniema autor, wieków, jako to: Powietrze, w postaci wysokiéj niewiasty, roznoszące zniszczenie; Oczy urocze, za którémi wszędzie się ciągnęły klęski, śmierć i choroby; Zajęcze serce, które czarownica w pierś rycerza włożyła, i z walecznego zmieniła w tchórza; Porwany wichrem; Djabli taniec; fujarka tajemnicza; Wilkołaki; Pieczary w czarnéj górze; Dżuma, Homen.

Do drugiéj części wchodzą osoby historyczne, ale o których albo kroniki nasze milczą lub małe dają objaśnienia. Tu należą zapewne najstaroźytniejsi bohatyrowie; mężowie olbrzymiéj siły, których lud pamięć w osobach Wali-góry i Wyrwi-dębu zachował; sławnego rozbójnika Madeja, a w końcu czarodzieja Twardowskiego. Tu jest także powieść o Borucie, djable siedzącym pod gruzami łęczyckiego zamku, i Iskrzyckim, innym djable, który był wiernym sługą.

Do ostatniego rzędu i najobfitszego należą powieści o czarach i czarownicach, o zaklętych królewiczach i królewnach, o cudownych zamkach. Część ta składająca tom drugi obejmuje dwanaście powieści, jako to: Żaba, Piszczałka, Koszałki-Opałki, Czarownik i uczeń, Szklanna góra, Trzéj bracia, Dąb albo barani kożuszek, Brat i siostra, Duch pogrzebanego, Ucieczka, Zaklęty w wronę i Gołąbek. Do każdéj części dołączone są przypisy ku wyjaśnieniu podań służące.

W przypisaniu Dominikowi i we wstępie, autor skreślił ogólny charakter tych Klechd, oraz umieścił podanie serbskie: Trojan, i klechdę kronikową o Walgerzu hrabi na Tyńcu.

Ileż myśli nasuwają te poetyckie podania! Uderza czytelnika magnetyczny niejako związek wyobrażeń i uczuć, łączący najodleglejsze z sobą narody: to odbicie się podań ze skał Skandynawskich, a co większa z nad brzegów Gangesu o brzegi Wisły lub Bugu; ten świat nadzmysłowy przez duchy, widma i czarownice zamieszkały; owa potęga słów w zaklęciach! Nadto, ogólny charakter wszystkich tych podań, przy całéj ich fantastyczności, jest moralny: wszędzie prawie cnota odbiera nagrodę lub przynajmniéj zbrodnia pomstę odnosi. Nie wątpiemy, iż pan Wojcicki wielką uczyniwszy literaturze przysługę wydaniem Klechd: daléj raz obraną drogą postępować będzie; że pomnoży z czasem zbiór niniejszy nowemi jeszcze podaniami tającemi się po kmiecych ustroniach lub też wiążącemi się z historyą pojedyńczych, upadłych zwłaszcza gmachów. Niemasz prawie ani jednego zamku starodawnego, ani jednych ruin, o których by nie krążyły pomiędzy gminem straszne lub smutne powieści, pamiątka wypadków tajemniczych kojarzących ludzi ze światem duchów.

TWIERDZA DŻYNDŻY I MECZET W RAJAH-GHUR.

Pod 15tym stopniem szérokości północnéj odłącza się od zachodnich Ghauts w Indyach Wschodnich łańcuch gór i ciągnie się ku północy, dopóki się nie zbliży z pasmem Kryszna na pobrzeżu Koromandelskim. Te Ghauts (ściany granitu) niejednostajną mają wysokość, wiele z nich atoli obłoków sięga; w ogólności zaś tworzą skalistą ścianę, która na 3000 stóp nad powierzchnią morza w kształcie terrasu się podnosi. Jest to kraina Mysory, a cała niższa część powierzchni od wschodniéj strony zachodnich Ghauts Karnatik ma imię. Tu się podnosi znowu łańcuch pojedyńczych, wielkich, okrągłych gór, które jakby sztuką utworzone zostały: nazywają się ogólném mianem gór, Dżyndży. Na jednéj z tych nagich i stromych gór, w pobliżu rzéki Palar panuje groźna twierdza Dżyndży (Gingi).



(TWIERDZA DŻYNDŻY I MECZET W RAJAH-GHUR.)

Podobnie jak wszystkie indyjskie twierdze i ta sięga czasów, kiedy działa używanémi jeszcze nie były, i składa się z grubego kamiennego wału, w którym, równie jak w sześciu basztach, wznoszących się ponad wałem, porobione są strzelnice, zkąd oblężeni ciskali kamienie lub z krótkich strzelb dawali ognia na oblegających. Lubo z natury saméj niepodobna do zdobycia; indyjscy jednak książęta niczego zgoła niezaniedbali, aby ją przez sztukę jeszcze groźniejszą dla nieprzyjaciół uczynić. Zaręczała przeto dostateczną obronę siedmiobramnemu Rajah-Ghur, stolicy książęcéj, rozciągającéj się u stóp skały na któréj twierdza zbudowana. Rycina, oprócz wieży, jaką wszystkie prawie większe miasta indyjskie posiadają, i która służy za mieszkanie dla Rajaha albo książęcia, wyobraża inny jeszcze pomnik dawnéj świetności.

Wspaniała ta budowla z kolumnadą i płaskim dachem, dzieło prawdziwéj oryentalnéj architektury, jest to meczet okazały, na miejscu indyjskiéj świątyni wzniesiony: dopókąd mahometańscy książęta tu panowali, jako cel pielgrzymki mnóstwa pobożnych, niemałego blasku dawnemu miastu Rajah-Ghur przydawał.

Twierdza Dżyndży powielekroć bezskutecznie dobywana, wytrzymawszy nawet trzyletnie oblężenie mężnego Aurengzeba, dostała się naostatek w moc książęcia Mysory, Hyder-Alego i jego syna Typpo-Sahiba. Późniéj posiedli ją Francuzi; teraz zaś podobnie jak cały Karnatik, należy ona do Anglików, którzy po zdobyciu szturmem Seringapatnam (1799), dawnéj stolicy tamecznego książęcia, stali się jéj panami.

w WARSZAWIE, w DRUKARNI J. GLÜCKSBERGA, KSIĘGARZA SZKOŁ PUBL., ULICA MIODOWA N. 482.